



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 gr. 20.

NA MIESIĄC MAJ.

Gdy ziemia z lodowej powstaje martwoty,
Gdy pola do życia budzi promień złoty,
W pokło nie dla Ciebie wiosna się zaczyna:
Stella Matutina!

Gdy z rosą poranną rozkwitają kwiaty,
Po łąkach się ścieląc, jak żywe makaty,
Chór ptasząt Ci śpiewa, jak w niebie anieli:
Regina Coeli!

I lilia dla Ciebie swą białość przeczystą,
I róża dla Ciebie, barwę płomienistą,
W złotym słońca blasku ku niebiosom wspina:
Salve Regina!

Wśród światła i woni, w każdej świata stronie,
Twój obraz dziewiczy na ołtarzach płonie,
I w hymnie natury głos ludzki się wzbija:
Ave Maria!

Kr....

POGA WĘDKA.

W bieżącym miesiącu na korzyść Towarzystwa Dobroczynności ogłosili z kolei dwie prelekcje pp. Edward Grabowski „Kobieta w świetle poezji rycerskiej“, Hołowiński „O elektryczności“.

Co do pierwszego, musielibyśmy dłużej zastanawiać się nad pominiętymi, lub z góry z lekceważonymi czynnikami i wpływami uszlachetniającymi rolę i stanowisko kobiety w średnich wiekach, aniżeli nad całym balastem wywodów i cytat, którymi p. Grabowski przeładował swą rozprawę, by udowodnić, że romantyzm nowoczesny mylił się, przypisując kobiecie średniowiecznej wyższe znaczenie w społecznym i moralnym rozwoju, wiodącym ludzkość ku ideałom.

Prelegent w poezji owoczesnej czerpał materiały i z niego odtworzył tylko zmysłową, namiętną postać kobiecą, odartą z wszelkiego wyższego uroku.

Czego chciał koniecznie udowodnić, co sobie z góry założył, to wykonał—ale czy miał zupełnie słuszną i sądził bezstronnie?... o tem trzeba dłużej rozprawiać.

Szkoda, że p. Hołowiński nie wziął lekcji u pp. Milicera lub Dziewulskiego, zanim się pokusił o popularyzowanie ostatnich rezultatów i pojęć o elektryczności; publiczność byłaby na tem więcej zyskała, a prelegent byłby mniej stracił w zaufaniu i kredycie na przyszłość. Pan Hołowiński nie umiał sobie poradzić z ogromem materiału,

który pragnął gwałtem wcisnąć w ramy jednego-dzinnego wykładu, nie umiał wyjaśnić i uprzystępnąć słuchaczom pojęć, potrzebujących pewnego przygotowania z fizyki.

Do popularyzowania nauki nie wystarcza sama erudycja i znajomość przedmiotu; potrzeba jeszcze osobnego talentu, którego niestety p. Hołowiński nie posiada.

* * *

Warszawa nieszczególnie jest obecnie usposobioną do wrażeń umysłowych i artystycznych: wiosna uśmiechnęła się nareszcie tak powabnie, zieleni i kwiaty pod pogodnym niebem tyle mają uroku, że trudno się oprzeć pokusie i nie spieszyć na przechadzkę za miasto, choćby nam najpiękniejszymi kwiatami sypano na głowę z estrady koncertowej, sceny teatralnej, albo katedry prelegentkiej.

Z uroczym Majem trudna jest konkurencja. Coraz mniej przeto spędzamy czasu pod dachem, a coraz więcej pod gołym niebem.

Na bruku warszawskim zaczyna się już powoli roić od ogorzalych twarzy i „obywatelskich fizjonomii“.

Wycigi, rozpolowione w tym roku na majowe i czerwcowe, ściągnęły *sportsmanów*, zapowiedziana wystawa koni i inwentarza na Placu Ujazdowskim skusiła naszych gospodarzy do odwiedzenia Warszawki, a niedaleki jarmark wełniany ściągnie ich jeszcze więcej nadzieją dobrego zysku i podratowania interessów.

Obecnie jest to sezon „koński“, jeżeli go tak nazwać wolno; na Polach Mokotowskich, na Ujazdowie, w Tattersalu i w Cyrku ogniskują się główne wrażenia chwili, do których hippika najczęściej dostarcza materiału.

Tattersal, oprócz szkoły jazdy konno, rozwijającej się coraz pomysłniej z niemalym udziałem pici pięknej, zaprowadził nader pożądane licytacje na konie, które, jak dotychczas, bardzo dobrych dostarczyły rezultatów. Obywa się tu bez pośrednictwa faktorów i wyzyskiwaczy, bez trawienia czasu na jarmarczne wycieczki, bez bałagulstwa, a nawet bez... buffetu i zielonych stolików, które stanowiły niegdyś i dziś jeszcze stanowią konieczne, a może najważniejsze, uzupełnienie każdej wyprawy po konie na targ.

Rozumie się, iż taka innowacja musi być solą na oku dla podrażnionych pośredników i handlarzy, którym Tattersal niebezpieczną robi konkurencją. Dla nabywców wszelako licytacje takie podwójny przedstawiają pożytek, bo najpierw zapewniają oszczędność, a powtórę dają rękojmią, iż pod odpowiedzialną firmą złego kupna zrobić nie mogą.

Szkoda tylko, iż dotąd same konie zbyt kowale wierzchowe lub powozowe stawały na sprzedaż; czasem wszelako, gdy i lepsze robocze znajdują się pomiędzy nimi, licytacje jeszcze więcej nabrać mogą interessu i więcej przyniosą pożytku.

Rozumie się, iż podczas „końskiego sezonu“, największem powodzeniem cieszy się Cyrk, w którym zarówno w ostatnich czasach przedstawiano konie, jak i dzikich Indyan; ale nietylko wieczorowe przedstawienia ściągają licznych widzów z krzywdą wszystkich trzech stałych teatrów naszych: wszechwiedząca reporterka zapewnia, że i na próbach dziennych gromadzi się spora liczba amatorów i... amateerek jazdy konnej i ćwiczeń akrobatycznych.

Że tam nasi cyrkomanie nie lepszego do roboty nie mają, nad przepatrywanie się hecarzom i hecarcom, w to już wchodzić nie chcemy, ale że znajdują się tak zapalone wielbicieleki ekwilibrystyki wśród kobiet naszych, które po kilka godzin dziennie spędzają w arenie—tego nie przypuszczaliśmy w Warszawie, w której nasze panie, co prawda, niewiele robią, ale mogłyby przynajmniej swój czas w przyzwoitszy i godziwszy sposób... marnować.

* * *

Najgorzej na konkurencji z Cyrkiem i wiosenną pogodą wychodzi obecnie Teatr, trzymany jeszcze przez dyrekcją w murach zimowych gmachów. Publiczność uczęszcza na przedstawienia bardzo nielicznie: ani nowe sztuki, ani wznawiane, ani stare, dobrze grane, nie ściągają widzów.

Jedyna opera, odżywna i rozbudzona głosem pana Myszugi, okazuje najwięcej siły przyciągającej.

Ze sfer zakulisowych doszła wiadomość o obietnicy pokrycia deficytu teatralnego z funduszu skarbu, ale za cenę subwencji, którą scena jeszcze przez lat pięć pobierać miała. Rozumie się, iż byłby to w dzisiejszych czasach najlepszy jeszcze sposób wyswobodzenia Teatru naszego z ciążących na nim długów i zakończenia wysiłków administracyjnej reformy, niezawsze dających się z wymogami i obowiązkami względem sztuki pogodzić. Publiczność warszawska musiałaby wszelako na wypadek odjęcia subwencji zastąpić ją odpowiednim dochodem, powinnaby goręcej popierać scenę i zrozumieć obywatelski swój obowiązek względem instytucji, która jest u nas nader ważną świątynią sztuki i żywego słowa naszego.

* * *

Druga wiadomość dotyczy projektu—przyszłości, którego urzeczywistnienie dziś przynajmniej należy do pięknych marzeń: chodzi o budowę nowego Teatru „Rozmaitości“ i przeniesienie doń dramatu i komedii. Władza wyższa podobno w zasadzie zgodziła się na projekt, pozwoliła nawet na ogłoszenie konkursu architektonicznego, tylko nie wspomniała wcale: z jakich funduszu stanąć ma ów nowy gmach z uwzględnieniem wszystkich ulepszeń w urządzeniu i budowie, a od tej głównej kwestyi zależą dalsze losy projektu.

Zresztą, w tej sprawie powtórzyć musimy zdanie, wygłoszone już raz z powodu planów wybudowania osobnego gmachu dla zbiorów i wystawy obrazów Towarzystwa Zach. Sz. Pięk. w Warszawie. Zanim się pomyśli o ozdobnej i kosztownej szkatule, należałoby wprawdzie postarać się o klejnoty, które w niej przechowane być mają. Najpiękniejszy gmach, z wentylacją, żelazną kurtyną, z nowym urządzeniem sceny, nie podnieś się sztuki, nie zwabi i nie przyciągnie stale publiczności, jeżeli repertuar szwankować, reżyseria niedomagać, a artyści lenić się w pracy i partaczyc w grze będą. Trzeba wprawdzie odświeżyć atmosferę sztuki, skompletować grono artystów, postarać się o energiczny, dzielny i rozumny kierunek artystyczny, któryby scenę wprowadził na nowe tory i zainteresował publiczność, niezrażając jej nieudaleniemi próbami: a wówczas dopiero zaczniemy budować nowy teatr, gdy dzisiejsza Sala Rozmaitości okaże się naprawdę zaciasną i przestanie świecić pustkami.

* * *

Z dziedziny sztuki niewiele mamy zajmujących rzeczy do zanotowania; wspomnieć się godzi o podjętem przez p. Robiczka wydawnictwie *Albumu malarzy polskich*, w którym na sposób heliograficzny znaleźć się mają reprodukcje, naśladowane bardzo szczęśliwie miedzioryty — z głośniejszych dzieł naszych mistrzów pędzla i palety.

Objaśnienie do „Albumu“ wychodzi spod pióra znanego estetyka i krytyka prof. Struvego.

Pewną estetyczno-filantropijną cechą odznacza się ogłoszenie po dziennikach, zapowiadające, iż w Niedziele i święta wspaniałą plafon Siemiradzkiego „Światło i ciemności“, umieszczony stosownie w pałacu p. Zawiszy przy ulicy Bielańskiej, podziwiać można za opłatą na korzyść Schronienia dla paralityków.

Bardzo to szlachetnie ze strony właściciela obrazu, który w ten sposób miłośnikom piękna w sztuce daje sposobność poznania jednego z najlepszych dzieł Siemiradzkiego we właściwych warunkach przeznaczenia swego, a zarazem zasila nader pożądanym datkiem instytucją tak pożyteczną, jak Schronienie dla nieszczęśliwych kalek.

* * *

Najważniejszy temat ostatniego tygodnia zachowaliśmy sobie naostatek; jest nim proces Kraszewskiego przed trybunałem sądowym w Lipsku. Dzienniki nasze bardzo szczegółowo powiadomiły czytelników o całym przebiegu tej sprawy, która całą uwagę ogółu skupiła na sobie.

Jak wiadomo, głównym obwinionym, był niejaki Hentsch, ex-officer armii niemieckiej, który za pieniądze udzielał rozmaitych tajnych szczegółów organizacji wojskowej i urzędzeń strategicznych obcym rządów za pomocą zagadkowej i wielce lichej figury „literata“ Adlera. Kraszewski korzystał również z jego usług dla s. p. Bronisława Zaleskiego w Paryżu, który nadsyłany sobie materyał spożytkowywał miał w redakcyach specjalnych dzienników wojskowych. Adler i Hentsch byli za to, co prawda, nie zbyt hojnie, wynagradzani jeżeli naprawdę chodziło o ważne tajemnice stanu; Kraszewski zaś, jako pośrednik, pociągnięty został do odpowiedzialności i „igrajac bezwiednie z ogniem“, jak sam to przyznał podczas ostatniej rozprawy, wmieszał się w fatalny proces, który go majątkowo i fizycznie zruinował.

Tydzień cały trwało przesłuchanie świadków i obrona stron obu; proces byłby, jak wielka chmura, skończył się przynajmniej dla naszego jubilata małym deszczem, ale w chwili przełomu nagle i niespodzianie ks. Bismarck pchnął całą sprawę swoją żelazną ręką, wystosowawszy list do ministra wojny, w którym nowemi oskarżeniami obrzucił już nie samego Kraszewskiego, przedstawiając go, jako agenta Rządu Francuzkiego, ale i emigracją polską, jako rozsądnik intryg i wicherzycielstwa politycznego.

Na pozór gołosłowne oskarżenie ks. Kanclerza wydało się ważnym argumentem, ale wrażenie tego było tylko z góry obmyślanym efektem, który miał oddziaływać na opinią i na zdania sędziów.

Poznali się na tem wszelako nawet rodacy i wielbiciel księcia dyplomaty, którzy przywykli *jurare in verba magistri*.

Chodziło o wysrubowanie sprawy do wysokości procesu politycznego szerszych rozmiarów, chodziło o skompromitowanie Kraszewskiego i narodowości polskiej, chodziło o przechylenie szali, na której sprawiedliwość ważyła „ciężkie winy“ podsądnego Polaka przed trybunałem niemieckim.

Kraszewski z najwyższem wzburzeniem, z gwałtownym wysiłkiem schorzałego ciała i duszy zaprotestował wręcz oskarżeniu i zeznaniu ks. Bismarcka, otwarcie wobec sądu nazwał kłamstwem, absolutnym fałszem, pozbawionym podstawy i dowodów.

Sledztwo nie wykryło i nie udowodniło winy zarzucanej Kraszewskiemu, najpoważniejsze organa prasy francuzkiej zaprzeczyły najuroczyściej potwarzyć, jakoby jubilat nasz komunikował się z Ferrym, byłym ministrem wojny Thibaudin'em, lub zmarłym szefem biura statystycznego w temże ministerjum, pułkownikiem Samuelem.

Mimo to wszystko, po liście księcia Bismarcka, wyrok w procesie Kraszewskiego nie mógł wypaść pomysłnie, chociaż początkowo rzeczoznawcy przepowiadali wynik nader łagodny.

Telegramy z Lipska przyniosły wreszcie wiadomość, która nader przykrem echem odbić się musiała we wszystkich sercach współczujących z nieszczęściem sędziwego starca.

Kraszewski skazany został na trzy lata i sześć miesięcy w twierdzy; Hentsch na dziewięć lat więzienia w domu karnym. Obydwaj skazani płacą kosztu processu.

Na tych wiadomościach bez komentarza kończymy dzisiaj wzmiankę o procesie Kraszewskiego, z nadzieją, że będziemy mogli pomysłniejszą wieścią naprawić choć w części smutne i przygnębiające wrażenie, jakie wynik jego w nas pozostawić musiał.

JAN Z CZARNOLASU

WYJĄTEK Z WYJŚĆ MAJĄCEGO

POEMATU

Seweryny Duchńskiej.

(Dokończenie)

III.

I osiadł lirnik w cienistej zagrodzie,
Przestał na kęsie pradziadowskiej ziemi,
Rad ze swej doli, *pogląda w swobodzie*
W ozdobne mebo oczyma jasnymi.
Śledzi z otuchą brzask jutrzeńki złotej,
Co nad Wawelem, zpoza mgły przeblýska,
I wzrok wysyła za domowe płoty;
Pochwyca lutnię i z piersi ogniska,
Wciąż nowe iskry twórczą siłą krzesze.
Nie gwoli własnej śpiewa on uciecze,
Acz lutnia słodką dla piewcy ponętą,
Acz krzepi duszę i odgania troski:
Śpiewać dla niego, powinnością świętą...
To nie igraszka, ale rozkaz Boski.
Komu z niebiosów padło darem słowo,
Niech serce słodką pociąga wymową,
Czyni porządek, ustrzeże od szkody,
Swych praw ojczystych i pięknej swobody,
Służmy pocziwiej sławie; jak kto może,
Niech ku pożytkom wspólnym dopomoże.

Wciąż ręka mistrza, weselej, to smutniej,
Potrąca w struny czarnoleskiej lutni;

Z różnych się kwiatów wieniec życia splata:
Czasami chmurka przebieży po niebie,
Niekiedy rosy brak w skwarne dni lata,
Czasami lutnia, *jak niesforne źrebie,*
Zbieży na pola— próżno gonić za nią!
Czasem zwątpienia duszę piewcy zranią,
I złote struny drgną dźwięki łzawemi,
*„Sobie ja śpiewam, bo ktoś jest na ziemi,
Ktoby mą pieśnią chciał ucieśzyć serce?”*
Lecz orłom w chmurach nie szybować długo;
Lirnik swej pieśni panem, a nie sługą,
Wie, jak do ładu sprzedaż myśli w rozterce,
Umie z bark strząsnąć twarde zwątpień brzemie
I trosk ciężarem uderzyć o ziemię.

Już śpiewak lutnię stroi na ton nowy:
Chce godnie uczcić wieczór Sobótkowy.
Żniwa za pasem, kłos o kłos potrąca,
Błysnął na niebie srebrny sierp miesiąca;
Bąki zagrały, jako zwyczaj niesie;
Kręgiem ogniska płoną w Czarnolesie.
Lirnik z rodziną, wśród wieśniaków grona,
Siadł na murawie i w struny uderzył...
Poi go wonią łąka pokoszona,
Z lasu powiewa zapach jodeł świeży.
Patrzy na kmieci, istne pszczołek roje,
Na opasane bylicą dziewoje,
Na dziarski zastęp młodzieży pastuszej.

Gorąco lirnik ukochał te kmiotki,
Do ojczyzstego przyrosłe zagona,
Przy nich on w pracy pędzi żywot słodki,
W nich czerpie siłę myśl prawdy żłakniona.
Nieraz gdy wicher ze świata powieje,
Gdy serce zwątpi, zmysły się zatrwożą,
Spójrzy na cichą tę czeladkę Bożą,
Jak orze z wiarą i z otuchą sieje:
I w duszy znowu kwitnie spokój błogi.
By żyć z tym ludem, zrzekł się blasków świata,
Przed kasztelanem zawarował progi.
Orlemi skrzydły duch piewcy ulata,
Twórczą natchnienia pędzony potęgą.
Podśluchał wielki śpiewak z Czarnolasu
Tętno serc bratnich, pod kmiecią siermięgą!
W jego Sobótkach drgnęła pierwsza nuta
Jedności z ludem, ledwie dziś odczuta.

IV.

Okrzyk tryumfu w powietrzu drga jeszcze...
Przez tak boleśnie drgnęły struny wieszce,
Dlaczego, piewco, zbielał włos twój kręty?
Zkąd one brózdki na wysokim czole?
Czemu zagasło twe oko sokole?
Czyż w duszy twojej, tej krynicy świętej,
Zkąd pieśń tryskała z potęgą wciąż nową,
Zbrakło wód żywych? Azaliż twe słowo
Utonie w czarnym odmęcie rozpaczy?
Słowo nie zniknie, pieśń twoja nie skona;
Lecz struna lutni, łzami potrącona,
U wrót cmentarnych zadzwoni inaczej!

*Jakby oliwka pod wysokim sadem,
Pnie się ku słońcu macierzyńskim śladem,
Tak twa dziewczeczka rosła ulubiona;
Słabiuchnym prątkiem ledwie wyszła z ziemi,
I nie okryta listki zielonemi,
Padła u nóg swych, kosą podsieczona.
Płacz, biedny ojczel! to cudowne dziecię
Miało dziedziczyć twą lutnię przezczystą,
Jak ty, w przezczystym bując natchnień świecie,
Błysnąć promykiem nad ziemią ojczystą,*

Co dnia z jej ustek zbiegała pieśni słodka,
Śpiewnem gardziółkiem kwiliła szczebiotka ...
Dziś tych pogwarów twe ucho nie słyszy;
Zwodna uluda swych oczu nie mam.
Zmilkła szczebiotka w zagrobowej ciszy,
Sny niewyśnione ty oblewasz łzami!
Piers twoja pęka w serdecznej żalobie,
Na niebie twojem słonko się zaćmiło,
W domu, acz pełnym, dziś pusto, jak w grobie,
Jedną duszyczką... tak wiele ubyło!

Gdzie skłonisz ucho, w którą spojrzysz stronę,
Wszystko ponawia twego serca rany...
*Tu jej letniczek we wzorku pisany,
Tam uploteczki i paski złocone.*
Ah! widzisz, ojczu, twą lilijkę białą,
W cichej trumience z powieki zwartemi?
*Ty jej pod główkę kładziesz bryłkę ziemi,
Ostatni datek, chudobę jej całą.*
„Orszulko! — wołasz — słodkie moje dziecię,
Gdzieś ty ubiegła? w jakim żyjesz świecie?
Czyli nad sfery niebios podniesiona,
Krążyś w błękicie wśród aniołków grona?
Czy, porzucwszy swe kształty dziewicze,
Wzięłaś postawę i piórka słowicze?
*Ukój mą żalobę, a staw się przedemną —
Snem, albo cieniem, lub marą tajemną!”*

Lecz pieśń umarłej z grobu nie wywoła.
Próżno... ah! próżno, ku ziemi schylony,
Grobowy kamień objąłś ramiony!
Ty drżysz!.. włos powstał dębem z twego czola!
W tajnikach piersi zaliż gad się leże?
Czarne niewiary opłotłyż ją węże?
Głos z niej odbrzmiewa jakimś tętnem dzikiem,
Stój!.. być-że tobie grobowym puszczykiem?
Orłom słoneczną szybować przestrzenia!..
Widzę cię, mistrzu, twe lica się mienia!
Już cudem łaski duch z pęt rozwiązany,
W górę nad mętne pomyka tuniany,
Z ocz twoich wytryska łez ożywcza rosa!
Ręce do góry podniosłeś w pokorze,
I wołasz, w jasne zapatrzon niebiosa:
„Bądź wola Twoja — przebac mi, o Boże!

I oto widzisz w odbłasku księżycy
Twojej macierzy promieniste lica.
Drobne dzieciątko na łonie swem tuli,
Zorza rumieni jagody Orszuli.
Jak modre gwiazdki oczęta jej płoną;
Bieluchne czoło zwieńczone koroną
Złotych uplotów, a z ustek szczebiotki
Wybieży głosik tak rzewny, tak słodki...
Śpiew to Serafów, śmiertelnym nieznanym.
„Czego mnie płaczesz, ojczu ukochany?
Na ziemi burza ścina kwiat w rozkwicie,
Łez rzeki płyną, twój świat nie wesoly,
Mnie stokroć lepiej po jasnym błękicie
Płasać swobodnie z białemi anioły!”

Znikło widzenie.. dokoła mrok czarny...
Pusto i głucho! wiatr tylko potrąca
Wiotkie gałązki wierzby cmentarnej,
I tylko promyk srebrzysty miesiąca
Płasa leciuchno po miękkiej murawie,
W pierś twą, lirniku, wstępuje otucha,
Rozpromieniony, pytasz w głębi ducha:
„Byłóż to we śnie? byłóż to na jawie?”

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Ale w papierach—została tylko próżnia. Zniszczono jaknajstaranniej wszelkie dowody, mogące na jakieś domysły naprowadzać.

Jednakże, kochany hrabio — wy to wiecie, że najtroskliwsze zacieranie nieprzyjemnych wspomnień—zawsze się okazuje próżnem. Wszystko wychodzi w końcu na wierzch.

Hrabia potakująco głową poruszył.

— Nie mieliśmy wcale ani ja ani brat pretensyi do ojca—ciągnął dalej Waclaw—za rozporządzenie tym półmilionem złotych, gdyż summa dochodziła tej wysokości, a mogła ją nawet przewyższać.

W rachunkach za życia ojca stało oprócz tego regularnie po kilka tysięcy rubli rocznie—zawsze w jednej porze, na niewiadomy obracanych użytek...

Mnie i brata więcej daleko niepokoiło to, żeśmy gdzieś na świecie mogli mieć kogoś, tak blisko z nami połączonego, do którego się ani można było przyznać—ani wiedzieć, jaki go los czekał.

Wystaw-że sobie wrażenie, jakie na mnie uczynił ten Horpiński, ze swem nadzwyczajnem podobieństwem do nas! Natychmiast mi na myśl przyszło: Ten być musi!

— Ale, mój drogi panie Waclawie — odparł hrabia — mnie się zdaje, że to czysta imaginacya. Horpiński, oile wiem, nigdy nie był na Ukrainie, i prawdopodobnie pochodzi z Galicyi, albo...

Tu hrabia się zatrzymał trochę.

— Właściwie, kto go wie?—dodał—ukraińskiego w sobie nic nie ma.

— Zapominasz o tem,—wtrącił Waclaw—że ojciec umyślnie zacierał pochodzenie, że matkę i syna wywieziono.

Nitosławski ruszył ramionami.

— Dodajmy do tego — rzekł — że, chociaż ja nie wiem nic o nim, bardzo być może, iż on, przez matkę jest uwiadomiony o ojcu — że wie w jakim stosunku jesteście.

Nic naturalniejszego nad to, że nas nienawidzić musi.

A właśnie on, jak tu wszyscy utrzymują, jest w szczególnych względach u babuni, u pań Zawierskich i u p. Michaliny.

Musi mi szkodzić.

Długo, długo hrabia Antoni głową poruszał, palił cygaro—ręką jedną bębnił po stoliku, nim rozważywszy, co mu Nitosławski zwierzył — odezwał się z wymijającą odpowiedzią:

— Cóż tu na to radzić?—he?

— Nie mam najmniejszej skazówki, mogę się mylić—mówił Waclaw po chwili—ale prawdopodobieństwo jest za mną. Jak ci się zdaje?

— Rzecz to bardzo niepewna—odparł hr. Antoni—są czasem dziwne natury igraszki. Potrzeba-by koniecznie dojść: zkąd pochodzi i kto jest ten Horpiński?

— Tak—lecz właśnie, co mi najwięcej daje do myślenia, to—że się o nim nic dowiedzieć nie można — zawołał Nitosławski. Niejaki Paczuski, patrz—oto ten, co tam z p. Salvatorem siedzi przy oknie, zadał był sobie pracę szpiegowania go, dochodzenia. Poznałem się z nim umyślnie; jest gadatliwy, nie lubi tego Horpińskiego, wyśpiewał mi chętnie, co wie, i przekonałem się, że nie wie nic.

Przyznasz, mój hrabio, że kto się tak ze swem pochodzeniem tai, ten coś ma do ukrywania.

Hrabia, widocznie skonwinkowany, małemi haustami dopijał *chartreuzę* i ramionami poruszał.

— Nie widzę jeszcze—dodał po namyśle, dla-

tu ze wszelkich stron świata, przychodzili ludzie słuchać nauk Abelarda, a w nowszych już czasach Karterzyusza, Pascala i t. d.

Słicznie on to wytłómaczył, że samo położenie kollegium jest właśnie w tem centrum starej oświaty, gdzie tyle pamiątek i wspomnień zostało po największych myślicielach francuskiej cywilizacji—i dla tego, mówił, i do dziś dnia profesorem tego kollegium, niezwiązani żadną regułą urzędowego programmatu, mają zupełną swobodę i wolę wykładów.

Przychodzą czasem chwile, gdy wolność sportyka pewne zapory... zamilkną na czas wymowne usta—ale to nigdy długo nie potrwa w tym kraju: prawda znów wychodzi na jaw—i słowo powraca, jak dawniej: swobodne, potężne — czasem z tem większą potęgą, im dłuższe było milczenie. Nasza zasługa—mówił—nie jest głównie w sposobie nauczania naszego, ale w tem, co przenika do serca słuchaczy; co budzi w ich duszy nieznaną uczucia; co wywołuje w ich umyśle jakby uspięte idee, które oni roznoszą na wsze strony świata! To jedno oplaca wszystko—to jedno zostaje.

Potem przypomniał w krótkich, ale pięknych słowach, jaki był charakter i wpływ każdego z trzech świetnych jubilatów dnia tego — i zamknął gorącym przemówieniem, że cześć oddana tym ludziom jest czią i zasługą kollegium i kraju całego.

Oreszcie, nie ma co mówić, niestety! bo obchód ten, urządzony przez dawniejszych niby uczniów tych ludzi, był rzeczywiście sprawą słynnego Armanda Lévy, który jaką odegrał rolę w ostatnich latach życia Mickiewicza, każdemu z nas wiadomo. Jego więc przemówienie miało cały charakter tej indywidualności ruchawej, zbyt ruchawej, niekonsekwentnej i pustej.

My, Polacy, odznaczylismy się, bawelnianym, kłakowatym adresem, wygłoszonym w imieniu Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Było to, jako pomysł, coś nakształt pozwu woźnego—a jako forma i całość, dziesiąta woda po kisielu z tego, co było niegdyś w ustach mistrzów — a nie było w tem ani jednej kropelki tego, co było w ich duchu. Towarzystwo to widocznie zgrzybiało; potrzebuje, aby je zasilili nowy i młodszy żywioł. Przy dzisiejszym składzie zarządu jest to stara szafa, w której są ciekawe dokumenta, ale którą stoczyły móle i już się dobierają do samych szpargałów. Czas więc, czas, zaradzić i szafę odnowić.

O tem, co powiedział jakiś Włoch młody, albo pelen dziwnych wykrzywień i gestykulacji Rumuńczyk—nie ma co wspominać. Żal się Boże!

Administrator, mądry i wymowny, uratował tonącą nawę. Mowa p. Renana była piękna, ciepła i wielce podniosła — to zostanie i warto byłoby przełożyć ją i ogłosić popolsku. Wiąże się to ze sprawą naszego języka, a jeżeli kiedy, to dziś, nie powinniśmy opuścić ani wypuścić żadnego dokumentu mogącego posłużyć w tej sprawie.

Ledwie-smy cześć oddali tym wielkim umarłym, a oto nowe już sypią mogiły. Dwie osobistości zeszły z tego świata — obie zrodzone z tym wiekiem. Jedna—wielka, i ważna własnem znaczeniem, druga—ciekawa swoim pochodzeniem i swoją oryginalnością brukową. Każdy tu, na tej wielkiej ziemi żywota, ma swoją do odegrania rolę — każdy z kolei zejść musi. Ci dwaj ludzie osmdziesięcio-kilkoletni, stali na dwóch biegunach społeczności: Jan Chrzyciel Dumas, znakomity chemik, sekretarz dożywotni Akademii nauk i członek Akademii Francuskiej—i Adolf de Leuven, pisarz dramatyczny, który, jak Piron:

Ne fut rien, pas même academicien!

Jan Chrzyciel Dumas; urodził się w r. 1800 miał więc lat 84, poświęconych wyłącznie i jedynie nauce. W kilku rysach nie godzi się zamykać tak pięknego żywota; wolę więc wskazać najlepsze źródła. Najzupełniejszy życiorys tego uczonego napisał znakomity chemik Hofmann — obszerny, wyczerpujący, jest to cały tom prawie: do tej więc pracy odsyłam ciekawych czytelników moich.

Tam oni znajdują wszystkie szczegóły tego długiego zawodu uczonego, tak rozmaitego w swych przejściach, a tak zawsze pełnego działania i światła rozszerzanego z hojnością. Życiorys Dumasa,

jest to rzeczywiście historia nauk ścisłych dziełnatnastego wieku. Ale najlepsze i najściślej ocenienie człowieka i uczonego znajdziemy w tych kilku słowach, tak treściwych a tak pięknych, wyrzeczonych przez uczonego szwedzkiego p. Brocha, delegata na konferencję międzynarodową jednostek elektrycznych (*des unités électriques*), obradującą w tej chwili w Paryżu.

„To, co nam sprawia największy żal po nim—mówił do zgromadzenia uczonych p. Broch—to nietylko, żeśmy w nim stracili wielkiego męża nauki, ale jeszcze i nadewszystko, żeśmy stracili człowieka. Jako uczonego, zostawił on szkołę, która żyć będzie, podejmuje jego rozpoczęte prace i będzie rozwijać dalej. Ale nie wróci ona nam tego, co odznaczało szczególnie Dumasa od wszystkich innych: to jest nie wróci owego świętego zapалу do nauk, który on przechował do najpóźniejszej starości, aż do grobu — i owej niewyczerpanej dobroci, z jaką zagrzewał do pracy i z jaką kierował tymi wszystkimi, którzy się udawali do niego, nawet w poszukiwaniach, gdzieby czekały ich nieprzełamane dla każdego innego prócz Dumasa trudności; a nakoniec nie wróci nam tego pełnego szlachetności serca, które go zespalało z każdą nową zdobyczą nauki i ludzkości. Wówczas, kiedy tylu nas z wiekiem traci zaufanie w postęp, Dumas zachował niezachwianą, gorącą wiarę w przyszłość i z tego powodu szczególnie śmierć jego jest niepowetowaną stratą, nietylko dla Francji, ale dla całej ludzkości!..“

Spokojnie można zamknąć oczy na wieki, kiedy obcy nawet takimi słowami żegnają, odchodzącego na wieczny spoczynek pracownika, z pola długiego i ciężkiego znoju!

Adolf de Leuven—cudzoziemiec, który się stał Francuzem przez wychowanie, życie i usposobienie ducha, nie był to uczonego mistrz i pracownik jak jego rówieśnik Dumas. De Leuven rodził się w r. 1801; rozumny, sprytny, łatwy w stosunkach i życiu, do tego wielki pan i literat zarazem, sceptyk, jakich mało—była to postać czysto i nawskroś paryzka — której tajemnicza i posępna historia rodzinna dawała przytem stanowisko wyjątkowe, jakby owego starożytnego Sfinxa edypowego.

Prawdziwe nazwisko zmarłego było: hrabia Ribbing. Ojciec jego, hr. Adolf Ludwik Ribbing de Löven, był jednym z pięciu spiskowych na życie Gustawa III króla szwedzkiego; czterej inni byli: hr. Horn, baron Erswänd, pułkownik Lillienhorn i Ankaström.

Tragiczna śmierć Gustawa, którego zabił z pistoletu Ankaström na balu maskowym, w nocy z d. 15 na 16 Marca r. 1792, sprawiła wówczas niezmierne wrażenie, nietylko w Szwecji, ale w całej Europie. Ankaström, schwytany, ówczony różgami przez trzy dni, oddał głowę na rusztowaniu, niezdradziwszy spólników spisku. Podejrzenia przecież i prawie dowodów nie brakło; ale regent królestwa, książę Sudermanii, wuj króla, nie chciał rozlewu krwi i wyrok śmierci wydany na Horna i Ribbinga, zamienił na karę wiecznego wygnania z kraju.

Ribbing udał się do Francji. Tu za protekcją swego współrodaka, sławnego hr. Tersena, zbliżywszy się do dworu, wstąpił do sławnych Muszkietorów Ludwika XVI-o, stał się wielbicielem królowej i w straszliwej tragedji de Varennes i śmierci królewskiej rodziny odegrał pewną rolę, która ściała nań uwagę Jakobinów. Ocalaony od śmierci przez znanego Chaumette'e, wyjechał do Szwajcaryi, gdzie pozostał aż do ustanowienia we Francji rządów Konsulatu.

Wówczas wrócił do Francji, gdzie pozostał aż do śmierci — z wyjątkiem czasów Restauracji, kiedy był zmuszony usunąć się na lat kilka do Belgii, wskutek znanych swych sympatyj do Cesarstwa.

Syn jego, wychowany w Paryżu—zbliżony szkolnem koleżeństwem z całą tą młodą plejadą, która później miała utworzyć ów znakomity ruch literacki i artystyczny r. 1830, znany pod nazwiskiem Romantyzmu — połączony ściśle bardzo przyjaźnią z Alexandrem Dumasem (ojcem), de Leuven — stał się, jak mówiłem, Francuzem i Paryżaninem w całym tego słowa znaczeniu.

Jego usposobienie do sceptycyzmu, i ironii, je-

go charakter pelen żywej wyobraźni, — popełniły go do dramatycznego zawodu. Ztąd wyszło kilkanaście dowcipnych wodewilów i innych fraszek scenicznych, podpisanych jego imieniem, i kilkadziesiąt ze współpracownictwem najlepszych, współczesnych pisarzy dramatycznych. Najwybitniejszemi z jego własnych utworów są: *Sylvandire*, *Vert-Vert* i *Maitre Pathelin*, opera komiczna. Ale cały ten literacki pakunek, był to jedynie ładowniczy ciężar tej łodzi światowego człowieka, która trochę samopas igrała sobie ze zmiennymi wiatrami wziętości i opinii publicznej. Największy wdzięk jego i talent, była to gawęda. Jako brukowy kolezka, nie miał sobie równego co do świetności umysłu i dowcipu.

(Dokończenie nastąpi)

RUCH MUZYCZNY.

Doroczny koncert kompozytorski Zygmunta Noskowskiego odbył się w dniu 4 b. m. w Salach Redutowych. Pomimo programmatu bardzo interesującego, który dawał dokładne pojęcie o twórczości koncertanta, bardzo mało stosunkowo zebrało się publiczności. Moznaby sądzić, że nasza publiczność jest obojętną na objawy muzy swojskiej, jeśli ona nie występuje ubrana w jaskrawy kostiumskoczka cyrkowego.

Biedni ci artyści: nie wolno im zejść z piedestału, aby wmieścić się w tłum zwykłych śmiertelników, gdyż wtedy przestają być kapłanami sztuki, szanującymi swą godność; lecz ogół nie pomyśli o tem, by nie byli do tego zmuszonymi przez nieublaganą konieczność, poszukania sobie środków materialnej egzystencji. Jeśli zaś artyści, zniechęceni niepowodzeniem, opuszczają ziemię rodzinną, dążąc w gościniejsze progi obce, wtedy stają się niewdzięcznymi dziećmi swego kraju. Obraz to smutny, lecz, niestety, prawdziwy; wielu już do tej pory zdolnych artystów straciliśmy i tracimy jeszcze tym sposobem: nie pomoże poszanowanie nazwisk zmarłych talentów i ostentacyjne wpisywanie ich do księgi dziejów naszej sztuki, jeśli żyjącym ręki pomocnej nie podamy. Powróćmy jednak do koncertu Noskowskiego. Rozpoczął go kwartet smyczkowy Nr. 3 zatytułowany „Fantazyą“. Nazwa ta doskonale charakteryzuje całe dzieło, które odbiegło od zwykłych cech kwartetu, tak że względu dowolności w prowadzeniu okresów muzycznych i wiązania ich z sobą, jak i oryginalnych efektów instrumentalnych, które występują w nim śmiało, a może nawet za śmiało, względnie do delikatnego poczucia estetycznego.

„Allegro espressivo“ nie może być jasno zrozumiane, po jednorazowem wysłuchaniu: taki tam ruch ciągły krzyżujących się lub gonących fraz muzycznych, z których trudno wyprowadzić jaką prędko pochwytiliową formę myśli utrwalającą się zaraz w pamięci, a co dla mniej muzykalnych słuchaczy stanowi typ idealnej melodyi. Przy głębszem wsłuchaniu się niezawodnie nastąpić musi rozwikłanie tego wątku splecionych melodyi i niespodziewanych fantastycznych pomysłów. Część druga „Moderato scherzando“ jest osnuta głównie na małej a dominującej frazie, która wciąż daje się słyszeć, przebiegając, jak błędny ogień, po całej rozporządzałnej skali na odrębnem tle zupełnie. Otóż w tem miejscu musimy powtórzyć zarzut zbyt dużej śmiałości w zestawieniu ostro brzmiących nut tej frazy, powtarzanej forte w górnych regestrach, z arcy-poetycznym tłem towarzyszących jej figur muzycznych. Jest to kontrast, który w innych warunkach spotykamy w szekspirowskim „Śnie letniej nocy“, uroczej Tytanii wobec jej niepowabnego kochanka, w zestawieniu śmieszności z dramatem, poezji z prozajnością—słowem: jako satyrę naszego życia; lecz czy wolno nam w sztukach pięknych wprowadzać ją tak brutalnie narzucając się, tak niepiękną, chociaż oryginalną? Zdaniem naszym, każdy dowcip, choćby najdoskonalszy, jeśli tylko nie jest w przychylnym warunkach wypowiedziany.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Maju 1884 r.

Zdrojowiska krajowe. — Przewodnik do wschodnich Karpat. — Wystawa obrazów Matejki. — Wyższa szkoła żeńska. — Chemia w gospodarstwie kobiecym. — Nowości literackie. — Jan Kochanowski przez Lucyana Tatomira. — Kronika z życia Mickiewicza, przez Belzę. — Wzorowy sekretarz przez Sabowskiego. — Potomkowie Hetmanów, komedya, przez Wdowiszewskiego. — Ofiarność obywatelska.

nym, lub jest zbyt podkreślonym, bezwarunkowo traci na swej wartości, staje się trywialnym. To też, gdyby autor nie tak uporeczywie, trochę lżej, naznaczył swój pomysł, owiele wdzięczniejsze wrażenie-by wywołał. W „Largo tragico“ znów inny pomysł się objawia: na akkompaniamencie trzech partyi instrumentalnych, pierwsze skrzypce prowadzą szeroki śpiew dramatycznej osnowy, rozwijający się wspaniale, niekrepowany niczem. Dramatyczność ta coraz bardziej się potęguje, aż w ostatnim „Allegro feroce“ wybuchła całą siłą w orkiestrowych niemal efektach instrumentacyjnych.

Kwartet ten, bardzo oryginalny, a pod względem opracowania subtelny, jest dziełem niepospolitej wartości, przynoszącym autorowi jeden więcej liść do wieńca zasługi.

Z muzyki wokalne dane nam słyszeć pieśni: „Niewidome dziewczę“ i „Dzieci i żaby“, obie wykonane bardzo dobrze przez panią Tuszowską; pan Czernicki odspiewał umiejętnie „Romans“ z opery „Wiara, Miłość i Nadzieja“, i „Do konika polnego“. Całą drugą część koncertu zajęły „Wieczornice“, obrazek sielski Steckiego, z muzyką Noskowskiego. Dwa lata temu słyszeliśmy to dzieło wykonanem w bardzo dla niego niekorzystnych warunkach: to też dopiero teraz mogliśmy ocenić jego rzeczywistą wartość. Główną zaletą jego jest właściwy charakter muzyki zastosowanej do tekstu ludowej sielanki, muzyki niepretensjonalnej, świeżej, a pomimo to z poszanowaniem dla sztuki opracowanej. Niektóre chóry, jako to: „Pienia żałobne“, lub też „Dobranoc“, są z wielce poetycznym polotem napisane.

Szkoda wielka, że tego rodzaju dzieła nie wchodzi w repertuar teatralny: może z czasem mieliśmyby operetkę sympatyczniejszą od dotychczas istniejącej, która tak rażąco odskakuje od naszych obyczajów, stosunków i moralnego tonu społeczeństwa naszego. Z prac w powyższym rodzaju zebrałoby się już sporo, bardzo odpowiednich na scenę; pisali je różnemi czasy: Duniecki, Hofman, Noskowski, lecz wszystkie one nie mogą się doczekać przyjęcia do przybytku sztuki, gdzie królują: Offenbach, Lecocq i t. p.

Pani Zofia Menter, przejeżdżając przez Warszawę, wystąpiła w wieczorku muzycznym, urządzonym przez Resursę Kupiecką. Prawdopodobnie jednak nie była usposobioną dobrze, lub też nie chciała nadać swemu wystąpieniu cechy poważniejszego nastroju. Programmat, dość jednostajny, złożony przeważnie z dzieł Liszta, i to najslabszych, musiał wystarczyć tymrazem słuchaczom. Pani Menter zbyt ma sławę ustaloną, by nie wolno jej było okazać trochę lekceważenia, a publika nasza, jest o tyle uprzejmą dla obcych gości, że nie okazuje swego niezadowolenia, jakby to naprzykład Włosi uczynili. Pan Adamowski grał tego wieczora znakomicie. „Serenada“ i „Tarantella“ Lindner'a, oraz „Nokturn“ Rutkowskiego, z prawdziwym artystem były wykonane; niestety jednak, część okłasków, jemu przynależnych, bez podziału zabrała pani Menter. Soliści wokalni, szczęśliwsi pod tym względem, zdolali uratować swą własność; pan Myszyga śpiewał dumkę z opery „Halka“ i wraz z p. Weychertową, duet „Mira la bianca luna“ Rossiniego. P. Weychertowa ma głos piękny, lecz trochę ciężko nim włada; jest to wada do usunięcia, tembardziej, że głos jej zasługuje, by nad nim więcej popracować.

Na jednym z koncertów Towarzystwa Muzycznego mieliśmy sposobność słyszeć śpiew młodej artystki, panny Szlezyger. Ukończywszy swe studia u Lampertego w Dreźnie, panna Szlezyger występowała we Włoszech; obecnie bawi chwilowo w Warszawie. Z prawdziwą przyjemnością powitaliśmy jedną więcej wybranek sztuki: może będzie jej przeznaczeniem przyczynić się do podniesienia upadającej naszej opery.

Jub an Stattler.

Jeszcze promienie wiosennego słońca nie ociepliły należycie atmosfery, jeszcze zimny wietrzyk powiewa, wstrzymując postęp roślinności: a już myśli strudzonych pracą mieszkańców miasta wylatują jak jaskółki ze swych gniazd zimowych, stęsknione ciepła i powietrza, rojąc rozmaite wycieczki w zbliżającym się lecie. Moda szukania zdrowia i wypoczynku za granicą, posiadająca jakby wyłączność na to przywilej, minęła u nas dzięki Bogu, po części przynajmniej, a kąpiele krajowe, Truskawiec, Iwonicz, Krynica, Szczawnica i Żegestów, zapełniają się coraz liczniej z każdym rokiem, gośćmi takimi, którzy niedawno jeszcze przedtem wierzyli, jak w zbawienie, tylko w skuteczność wód zagranicznych. Prawda, że pod względem wygody, której brak odstraszał a niegdyś od zdrojowisk krajowych, uczyniono, w niektórych zwłaszcza, znaczne postępy i ulepszenia. Porównajmy np. dzisiejszy Lubień, położony w pobliżu Lwowa, z Lubieniem dawniejszym przed laty dziesięciu: a przekonamy się, jak wiele ostatnimi czasy uczyniono, aby zakład, że tak powiem, ucywilizować, upiększyć i zaopatrzyć we wszystko, co byt chorym uprzyjemnić i do skuteczności kuracji przyczynić się może. Najmłodsze ze zdrojowisk galicyjskich Rymanów i Morszyn, odznaczające się swem pięknem i zdrowem położeniem, nabierają coraz więcej wziętości; ten ostatni zwłaszcza, gdy obecnie po śmierci właściciela, ś. p. Stillera, na mocy zapisu przeszedł na własność tutejszego Towarzystwa Lekarskiego. Zakopane — z powodu bliskości Tatr zwabia najliczniejszych gości i turystów, żądnych nasycenia się wspaniałością obrazów natury Tatrzańskiej. Turysty wszakże popełniają pod tym względem niesprawiedliwość. Z całego łańcucha Karpat, obfitującego w przepyszne widoki i bogactwa natury od Dunajca do Prutu i Czeremoszu, tylko Tatry i Pieniny bywają zwiedzane i stanowią zwykły cel górskich pielgrzymek. A szkoda — bo wędrowka na Czarnogórę naprzykład opłaca się niezawodnie równie obfitą rozmaitością wrażeń, jak zwiedzenie okolic Tatrzańskich. Przekonał się o tem każdy, kto miał sposobność uczestniczenia w wycieczkach, urządzanych od lat kilku rok-rocznie w tę część Karpat przez Kołomyjski Oddział Towarzystwa Tatrzańskiego. Obecnie zawiązany świeżo Lwowski Oddział tegoż towarzystwa postanowił wydać *Przewodnik do Wschodnich Karpat*, mający zawrzeć dokładny obraz całego pasma gór od Czarnogóry po górne dorzecza Dniestru, pod względem topograficznym, etnograficznym i przyrodniczym. Zajęto się już zbieraniem materiałów do dzieła, które ma być osnute na rozpatrzeniu i krytycznem zbadaniu wszystkich miejscowych stosunków tak, aby posiadało wartość naukową, przewyższającą zwykle pobieżnie układane „przewodniki“ podobnego rodzaju. W tym celu zawezwano wszystkich, którzy mieli sposobność poznać bliżej tę lub ową okolicę Karpat wschodnich, aby dostarczyli jako materiału do przewodnika opisu tych okolic górskich i podgórszych które zwiedzili osobiście, z oznaczeniem dokładnem: w jakiej to było porze, którego zwiedzający przejeżdżał, wozem, czy wierzchem, lub też pieszo, — któremi przechodził ścieżkami, z dokładnem oznaczeniem kierunku onych, gdzie odpoczywał i nocował; jakie przebywał potoki i rzeczki, jakie są zwyczaje i obyczaje ludu górskiego, jego strój, stosunki, zajęcia i życie domowe? Zarazem wzywa redakcyja przewodnika o dołączenie do opisów, oile to być może, rysunków i planów zdejmowanych na

miejscu, fotografii widoków i t. p. Termin nadsyłania tych materiałów oznaczono do końca miesiąca Maja. Pożądaną byłoby rzeczą, żeby przewodnik jaknajrychlej się pojawił i mógł już w roku bieżącym służyć wędrowcom, mającym ochotę odbyć pielgrzymkę w Karpaty. Ale czas już tak krótki, że przy najgorliwszem staraniu prawie niepodobna myśleć o tem.

Mieliśmy przez parę tygodni wystawę 5-ciu obrazów Matejki. Po raz pierwszy Lwowianie mieli sposobność ujrzeć *Kazanie Skargi*, i *Wernyhore*, a zatem jedno z najpierwszych dzieł mistrza obok jednego z najnowszych, jakby dla porównania obok siebie umyślnie tu zestawionych. Po między *Skargą* a *Wernyhore* leży cały szereg dzieł wielkich, obejmujących całą przestrzeń czasu, w którym geniusz artysty potężniał i we właściwym sobie rozwijał się kierunku. Kazanie Skargą stworzyło sławę Matejki u wstępu artystycznego zawodu, a jak było jednym z pierwszych z kolei, tak pozostanie również jednym z najznakomitszych jego arcydzieł, nieustępującem pod wielu względami późniejszym. Kompozycya to ściśle historyczna, przedstawiająca grupę osób, będących wyrazem swej epoki, podczas gdy *Wernyhore* jest allegoryą historyczną, w której przedsięwzięł artysta ująć także pewną chwilę dziejową, ale sposobem symbolicznym, uosobionym w kilku postaciach. Charakterystyka tychże jest potężnie, z całą siłą matejkowskiego pędzla, oddana. Uzupełniały wystawę trzy pomniejsze portrety: chłopczyka na koniu i dwóch dziewczątek, jednej z kanarkiem, drugiej z sokołem na ramieniu; wszystkie trzy fantastycznie pomyslane, w otoczeniu ogrodowej zieleni, wdzięcznym rysunkiem i kolorytem wzrok ujmują. Obok tego znajdowały się na tejsamej wystawie dwie najnowsze akwarelle Juliusza Kossaka. Z tych jedna, większych rozmiarów, przedstawiała kompozycją także allegoryczną, druga wyobrażała znanego z ostatniej powieści Sienkiewicza *Ogniem i Mieczem* Podbiętego na koniu ze zduszonym Pułjanem. Doskonale pomyslna postać tego, w naiwnej swej łagodności tak cichego i skromnego, a zarazem na polu bitwy tak straszego żołnierza, przedstawia się na obrazku Kossaka w całej prawdzie życia w myśl autora pojętej. Znalazł też obraz ten zaraz nabywcę i zabrano go z wystawy z wielkim żalem zwiedzających ją gości, tych zwłaszcza, co, znając powieść Sienkiewicza, ciekawi byli ujrzeć tę do niej ilustracją Kossaka.

Wystawa Matejki, otwarta przez cały Kwiecień, coraz liczniej była zwiedzana. Ostatnimi dniami był natłok w sali, zwłaszcza gdy dla uczęcej się młodzieży znizono cenę wstępu. Korzystały z tego wszystkie tutejsze szkoły i zakłady wychowawcze, męskie i żeńskie, zwiedzając wystawę pod okiem swych nauczycieli i nauczycielek.

Rada miejska uchwaliła założyć szkołę wyższą żeńską, czyli gimnazjum z planem nauk zastosowanym do potrzeb umysłowego wykształcenia kobiety w szerszym zakresie. Szkoła ta ma być już z rozpoczęciem najbliższego kursu po feryach otwartą. Dotychczas posiada Lwów tylko ośmioklassowe szkoły wydziałowe: ich uzupełnieniem niejako będzie zamierzone gimnazjum. Obecnie zajmują się żywo w tutejszych kołach nauczycielskich sprawą ułożenia odpowiedniego planu nauk w tej nowej szkole. Rzecz to bardzo ważna; od niej przyszłość i pożyteczność szkoły zawisła. Chodzi o to, aby w wykładzie nauk zrównoważyć należycie praktyczność z teorią; ażeby, mianowicie, szkoła, podając wyższy pogląd naukowy, nie pominęła przeto właściwego zakresu zadań kobiety w życiu domowym i społecznym, lecz ją usposobiła do praktycznego i należytego onych spełniania. Ten wzgląd winien stanowić podstawę programmatu naukowego przyszłej szkoły, i do tego należy zastosować opartą na nim metodę wykładu, w czym szkoły terażniejsze nasze, wyznać należy, często grzeszą, gubiąc się za nado w wywodach teoretycznych, mniej potrzebnych do wykształcenia kobiecego. Tak, naprzykład, w naukach przyrodniczych zamiast, jak się to często dzieje, obszernego wywodu dość mglistych hipotez o *pierwoszczu*, mgławicach i rozmaitych przewrotach geologicznych, czyż nie należałoby szerszy daleko zakres wytknąć w szkole

żeńskie wykładowi chemii zastosowanej, której znajomość tak bardzo potrzebną i pożyteczną jest na każdym kroku gospodni miejskiej i wiejskiej, w kuchni, w apteczce domowej, w całym gospodarstwie, zwłaszcza też nabiałowem, tak wielką w dochodach gospodarskich odgrywającą rolę? Bardzo zdrowe w tym względzie uwagi czytamy w ogłoszonej świeżo rozprawie p. Ludwika Krasuskiego, mającej na celu wykazać ważność nauki chemii w programacie projektowanej wyższej szkoły żeńskiej we Lwowie, i podającej zarazem bardzo trafne wskazówki: jakim winien być wykład tej nauki, aby (należyty) przyniósł pożytek? Na empiryczno-tradycyjnych wzorach wykarmione, powiada Krasuski, panie nasze przerabiają, jeżeli to wogóle czynią, w sposób dawny i gdzie indziej zarzucony, mleko na różne przetwory nabiałowe, wędzą mięso, suszą i preparują konserwy z owoców i grzybów. Praca to piękna i zaszczytna; chodzi jednak o to, aby autorka tyłu smacznych rzeczy umiała sobie zdać sprawę z części składowych mleka, z procesu, jakiemu ono, różnym wpływom poddane, ulega, by wiedziała co za zmianę we włóknie i białku mięsa sprawia ten gryzący dym, który szynkę surową, w chwili, gdy to piszę, w ponętne kasztanowe barwy stroi, a soczysty grzyb w talerzyk pełen zmarszczków i chropowatości zamienia, lub co zacz jest to gorąco, które babę wielkanocną i chleb nasz powszedni obleka skórka, często z całego bochenka jedynie, niestety! jadalną. Ta skórka, ten grzyb, ta wędlina kobiety są dziełem, lecz może byłoby lepiej upieczne, uwędzone, ususzone, gdyby kobieta działalność przyczyn i skutków w ukrytym przyrody warsztacie poznała. Jak rozpoznać w śmietance białko lub tak zwany „proszek do mleka“, do niej dosypany; jak stwierdzić dodanie cegły tłuczonej i skorup do czekolady, albo fuksyny do różanego likieru; jak w zabawkach dla dzieci lub tapetach wykryć grysipan, sole ołowiu lub arseniku, a wytworzenie się niedokwasu stwierdzić w polewanem lub miedzianem naczyniu kuchennem...

Chemia, towaroznawstwo, po części na niej całkiem oparte, i rozumowana technologia— winny być niezbędną częścią arsenału praktycznej wiedzy każdej przyszłej gospośi wiejskiej. Miejskiej pani ta świadomość w wielu razach przydać się może. O cóż tu bowiem chodzi?

Chodzi o to, by znała istotę i znaczenie kwasu naprzykład salicylowego w gospodarstwie, by wiedziała gdzie kreozot jest skutecznym, a karbol szkodliwym; co świeżą ranę robotnika, któremu cep młocarni zgniół rękę, ochroni anti-septycznie od zarodków powietrza i może jemu ocali życie,—czem jest gips w stajni, amoniak i sole na roli, a czem bezwodnik kwasu węglowego lub salicyl w spiżarni, tym praktycznym egzaminie każdej gospośi. Wokół otaczają ją siły nieraz wrogo działające, które wszakże, znając umiejętnie ich istotę i skutki, można ku swoim pożytecznym nagiąć celom, albo udaremnić ich szkodliwość. Ale w jakież sposób zdoła gospośi, mimo najzaciejszych i najlepszych chęci, uratować zatrutego grzybem wieśniaka, ukąszonego przez żmiję na łące robotnika, dziecko bez pomocy lekarskiej konające, bo zjadło grono wilczej jagody, „ziarnka, co się świecą“, jeżeli nie zna odczynników, środków, jakie chemia wespół z higieną podaje? Przykre jest położenie osoby czującej pełnię i znającej zakres swych obowiązków, a niemogącej im skutecznie podołać! Na schyłku dziewiętnastego stulecia, gdy każdy niemal dzień posuwa ludzkość naprzód w postępie umu i rozumu, nieświadomość ta jest stokroć zgubniejszą i odbija się bardzo przykrem echem w pustej z tej przyczyny nieraz kieszeni.

Dokończenie nastąpi

Kolonie letnie dla dzieci ubogich.

Ostatni lat dziesiątek przyniósł nam w zakresie miłosierdzia publicznego, a nawet powiedziałabym: sprawiedliwości społecznej, pewną nową formę dobrego uczynku: zajęcie się słabowitem dzieckiem tych ubogich warstw ludności miejskiej, które w ciasnych, dusznych, słońca pozbawionych izdebkach tłoczą się nieszczęśliwie, niemogąc prawie nigdy wciągnąć w pierś świeżego, prawdziwie czystego powietrza. Najpierw w Szwajcaryi, następnie w Niemczech użalono się biednych, wątłych istot, które w smutnych tych warunkach do życia się rodzą i rosną w nich, niewiedząc nawet, co to jest pełną piersią odetchnąć, w przestrzeni się poruszać, w blaskach słońca, w ożywych powiewach wiatru się skąpać. Zrozumiano zarazem, że rośnie w nich dla przyszłości zgnęźniałe, wyrodzone pokolenie człowieka, i kosztem składek dobroczynnych poczęto wysyłać słabowite dzieci ubogich rodziców na wieś: w góry, nad morze. Wszędzie bez wyjątku stoją naczela tego miłosiernego dzieła kobiety; u nas przeciw pierwsza w tym kierunku inicjatywa wyszła od szlachetnego, o dobro ogółu troszczącego się lekarza, Dra St. Markiewicza, który w r. 1882 dobroczynną tę nowość do nas wprowadził: stworzył komitet, z jego pomocą potrzebne pieniądze zebrał i 54-ro ubogich dzieci warszawskich na czterotygodniowy pobyt na wieś wysłał. Wprawdzie gdzieindziej setki, tysiące dzieci takiego dobrodziejstwa używa, ale u nas i to było już rzeczą wielką, że się dobry początek zrobił w pożytecznym tym kierunku. Przecież Dr Markiewicz, inną pracą zajęty, już zaraz w roku następnym nie mógł się rozpocząć dziełem zajmować, ale podjął je poczciwie redaktor *Medycyny*, Dr Gustaw Fritsche, który już i poprzednio trud i zasługę Dra Markiewicza w polowie podzielał, a teraz wszystko to wziął na siebie. Wysłał właśnie z druku *Sprawozdanie z letnich kolonii dla biednych słabowitych dzieci, urządzonych w 1883 roku*, podaje obraz tej obywatelskiej pracy Dr Gustaw Fritsche. Komitet zaproszony do współdziałania, złożony z dziewięciu osób—w tej liczbie kobiet trzech: Daniela Kosińska, hr. Klementyna Żubieńska, Julia Walewska—ogłosił i rozesłał odezwy o pomoc, która drogą składek przyniosła 2,014 rs.; pozostałość z rokueszłego, przez Dra Markiewicza przesłana, wynosiła 86 rs., razem więc summa rozporządzalna na rok 1883 wynonila 2,100 rs. prócz darów w naturze, z których najważniejsze były: — wyroby lniane z Fabryki Żyrardowskiej od pp. Hille i Dietrich w cenie 120 rs., od p. Izraela Poznańskiego z Łodzi 400 łokci perkalu, i sztuka perkalu od hr. Rzyaszczewskiego. Szyciem bielizny zajęły się panie w skład komitetu wchodzące;—lecz jakkolwiek wiele poczciwych rąk kobiecych szycia tego się podjęło, nie było ich jednak dość—tyle co potrzeba, tyle ileby należało, ponieważ musiano wydać 84 rs. na opłatę szwaczek najętych.

Przyjąwszy za zasadę, za przykładem i doświadczeniem zagranicy, aby wysłane dzieci liczyły wieku od lat 8 do 14, wysłano ich na czterotygodniowy pobyt do pięciu kolonii już teraz 86, w tej liczbie 36 dziewcząt. Tylko w Janowie w majątku pan. Waleryi Trzetrzewińskiej, pobyt dzieci trwał 8 tygodni, ale przedłużone to dobrodziejstwo zawdzięczały one szlachetnej gościnności tej pani, która zatrzymała je, podejmując już jako gości swoich. W Janowie przebywało dziewcząt 19; w sąsiedniej wsi p. Makowskiego, w Osinach, 17, gdy więc pobyt w Janowie szczęśliwie przedłużonym został, wybrano z pomiędzy dziewcząt obu kolonii najslabsze, jako najwięcej odżywienia na świeżem powietrzu potrzebujące. Należy nam dodać wdzięczną wzmiankę, że p. Walerya Trzetrzewińska jeszcze w roku zaprzyszłym raz pierwszy przyjmując dzieci do siebie, wydała na odpowiednie urządzenie im pomieszkania 300 rubli, przytem otaczała wciąż dzieci najstaranniejszą opieką. Kolonii dla chłopców było trzy: w Jadowie, majątku hr. Zamojskiego; w Przega-

linie, majątku pana Moczulskiego; w Poraju, na stacyi kolei wiedeńskiej.

Ale kolonie letnie dzieci dały początek innej jeszcze dobroczynnej działalności. Dr Fritsche pisze, że gdy ogłoszenia o koloniach letnich pokazały się w dziennikach, poczęło się zgłaszać do niego mnóstwo młodzieńców; powyżej lat 14: studentów uniwersytetu, uczniów gimnazyów, szkoły rysunkowej, szkół technicznych, prosząc o ułatwienie im kilkotygodniowego pobytu poza murami miejskimi. Dr Fritsche, wiedziony życzliwem dla młodzieży tej uczuciem, odezwał się też przez dzienniki do mieszkańców wsi, jak księża, właściciele ziemscy i tem podobne osoby, z propozycją przyjęcia u siebie jednego, lub kilku młodzieńców, którzyby mogli w zamian za gościnność otrzymaną ofiarować gospodarzowi pracę jakąś, i odpowiedź ze strony publiczności była najpomysłniejszą. Nadeszło więcej niż dwieście listów, zapraszających młodzież, i to nawet z poza granic kraju, bo naprzykład był list z Kaukazu, a pisano je wszystkie z takim uczuciem obywatelskiem i gorącem, że Dr. Fritsche, który wiele z nich zachował sobie jako miłą, poczciwych uczuć pamiątkę, pisze w *Sprawozdaniu*, że służyć mu one będą na dowód, jak u nas uczucie obywatelskości wysoko jest rozwinięte i że „trzeba tylko umieć odszukać strunę właściwą a zabrzmi ona harmonijnie chórem całym“. Wiele osób, ofiarując u siebie gościnność zaproszonemu młodzieńcowi, oświadczało się z gotowością poniesienia kosztów podróży.

Był list jeden od sędziwej już pani, która chętnie chciała ugościć trzech, choćby czterech młodzieńców, bo samotna jest wśród obszernego dworu i ogromnego parku, które to miejsca ożywiły by się „obecnością młodzieży, którą kocha i szczęśliwą będzie jeżeli rozwesela oni smutne chwile, które w cichości wiejskiej spędza“. Był inny znowu list z Podola, w którym zamożny właściciel ziemski, niegdyś lekarz, prosi o przysłanie mu 15-to letniego młodzieńca, któryby z synem jego jedynakiem, gimnazystą tegoż wieku, lato spędził. Przesyłał on znaczne już pieniądze na podróz, ale prosił, aby chłopiec był moralny i wykształcony. Z innej okolicy, ale także bardzo odległej od Warszawy, pisał ksiądz o dwóch, lub trzech młodzieńców bogobojnych a szczególnie moralnych, których on „jak braci w skromnym domku przyjmie“.

Ale te właśnie strony szlachetnego uczucia proszących nakładały na Dr. Fritschego obowiązki, z których trudno mu się było wywiązać. Trzeba było posiadać pewne wiadomości o zgłaszającej się młodzieży, mieć jakieś rekomendacje wiarogodne, świadectwa poręczające ich obyczaje, moralność, a tu bardzo często, gdy takich rękojmi zażądał, danych przez nauczycieli, lub księdza szkoły, już młodzieniec nie wracał więcej.

Były i inne trudności. Niektórzy z zapraszających żądali za udzieloną młodzieńcowi gościnność uczenia dzieci, przygotowywania chłopca do gimnazjum, i chcieli od Dr Fritschego poręczenia pedagogicznych zdolności przysyłanego, co było też rzeczą dla niego niemożliwą. Wymagało by to pracy, zupełnie przedmiotowi temu poświęconej, której w tem rzeczy położeniu dać nie było można.

Więc tylko 17-tu młodzieńców zostało wybranych i wysłanych na wieś, a Dr. Fritsche wspomina w *Sprawozdaniu*, że dwóch z pomiędzy nich dopomagało przyjmującemu ich gospodarzowi przy wznoszących się budowlach.

Za zgodą Komitetu *Letnich kolonii ubogich dzieci* daną została dwunastu z pomiędzy nich zapomoga na drogę w małej sumce 49 rs.

Dr. Fritsche ze smutkiem zakończy rzecz uważając, że w maluczkiem kraiku Danii, wieś przyjmującą co rocznie w sposób podobny na wakacje letnie 7,000 chłopców. Ale na to potrzeba nie jednej osobistości poświęcającej szlachetnemu przedsięwzięciu czas swój, trudy swoje. Bóg zapłać Dr. Fritsche za to, co robi; robiąc co może, pociesza się on też przysłowiem angielskiem, że „Dobry początek jest połową dzieła“. (Well begun is half done).

Kronika działalności kobiecej.

— Na opiekunki Domu Schronienia Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, wezwano pań czterdzieści sześć.

— Ważna w zakresie pracy kobiecej *Wystawa Pszczolniczo-ogrodowa i Przemysłu domowego* miejsce mieć będzie w Galicyi w Tarnopolu; otwarta w dniu 26 Września, trwać będzie do dnia 30 tego miesiąca a obejmie: *Dział pszczolnictwa* 1) Płody surowe jako to: miód w plastrach, ramkach, nadstawkach, w szklach przez pszczoły zarobionych; patokę już spuszczoną z woszczyny i w słojach szklanych różne tej patoki gatunki: z akacyi, lipy, gorczycy, esparcety i tam dalej. Przyczem komitet wystawy nadmienia, że okazy takie są bardzo pokupne — wosk żółty i bielony, okazy woszczyny; 2) Płody przerobione: miód do picia i wszelkie miodowe nalewki, wina miodowe, ocy miodowe, konfitury na miodzie, pierniki; 3) Pszczoły: całe pnie rasy krajowej i obcej w ulach wszelkiego rodzaju; matki doborowe wszelkich ras; 4) Ule wszelkiego rodzaju—przy ulach odmiennych od formy typowej, należy podać uzasadnienie zmiany; 5) Wszelkie narzędzia pszczolarskie; 6) Przedmioty naukowe, obejmujące: piśmiennictwo pszczolnicze w postaci książki lub czasopisma; piśmienne sprawozdania o obchodzeniu się z pasiekami, wykazy statystyczne, rachunki, plany i modele pasiek i wszelkich przyrządów, pomysły dotyczące ich rozwoju tak w opisach, jak i rysunkach. *Dział ogrodniczy* obejmuje: 1) Sadownictwo: szkółki drzew owocowych; drzewka doborowe, odznaczające się pięknnością i dobrocią gatunku; krzewy owocowe, ze wskazaniem ich rozmaitego pielęgnowania; owoce z podaniem nazwy miejsca, z którego pochodzą, bez czego nie mogą być premiowane; owoce suszone, cukrzane i wszelkie przeroby owocowe i konserwy, konfitury, soki, wina owocowe i t. d.; 2) Warzywnictwo: warzywa wszelkiego rodzaju ze wskazówkami ich uprawy i w jakiej glebie, oraz wszelkie konserwy i suszone warzywa; 3) Ogrodnictwo ozdobne, jako to: kwiaty świeże, gruntowe, pokojowe i ze szklarni; także rośliny ozdobne: bukiety świeże i zasuszane, kwiaty zasuszane; 4) Ogrodnictwo gospodarskie, jak: 1-e Chmielnictwo, 2-ie Rośliny gospodarskie, to jest ogrodowizny i w polu uprawiane, jak: grochy, kartofle, buraki, fasola, mak, i t. d.; 3-cie Rośliny użyteczne w lecznictwie i przemyśle ze wskazówkami jak wyżej; 4-te Różne przeroby z tego działu, jak: oleje, przędza, musztarda; 5-te Część ogrodnictwa ogólna, jak: literatura ogrodnicza, wszelkie nasiona, narzędzia i przyrządy w naturze i modele, lub rysunki, opisy, przyczem upragnione będą własnego pomysłu plany ogrodów i ogródków, sadów, szkółek, upraw wszelkich w ogrodach i pokojach przez rośliny. Zbiory szkoldników i sposoby ich tępienia. Okazy chorobliwe. *Dział drobnego przemysłu domowego* który obejmuje: 1) Wszelkie wyroby tkackie ręczne i na warsztatach, wszelkie roboty ręczne kobiece, wyroby powroźnicze; 2) Wyroby ze skóry; 3) Wyroby z drzewa: tokarskie, bednarskie, rzeźbiarskie, oraz koszykarstwo plectenie mat i tym podobne rzeczy; 4) Wyroby garncarskie; 5) Wyroby z metalów; 6) Wyroby z kamienia; 7) Wszelkie wyroby w zakresie drobnego przemysłu domowego wchodzące, jak: mydła, oleje, sita, szczotki; 8) Nabiał: sery rozmaitego rodzaju, masło świeże i konserwowane; 9) Ptactwo domowe i króliki.

Osoby, chętne mieć udział w wystawie, powinny się zgłosić do komitetu wystawowego w Tarnopolu najpóźniej do dnia 15 Sierpnia, później zgłaszający się mogą nie znaleźć miejsca. Zgłoszenie się jak zwykle przy wystawach: wymienienie przedmiotu lub przedmiotów i żądanie odpowiedniej przestrzeni. Miejsce będzie udzielane bezpłatnie, komitet również zajmie się ustawieniem wcześniej nadesłanych przedmiotów i tylko koszt szczególnie jakiej wystawy ponosi wystawca. Okazy darowane na rzecz wystawy, będą rozlosowane. Owoce należy nadsyłać w liczbie kilku okazów.

— Kwestya examinów kobiecych na stopnie zaszczytne „honour examination“ w Uniwersytecie Oxfordzkim, została rozstrzygnięta w d. 30 Kwietnia na szczególnie licznem zebraniu uczestników tegoż uniwersytetu, którzy przybyli ze wszystkich stron kraju w liczbie 785 osób. Przy tak licznem zgromadzeniu postanowiono, aby nie było mów żadnych, każdy bowiem z członków konwokacyi przybywał z wyrobionem już przekonaniem, czy kobieta przy równej jak mężczyzna nauce ma prawo do równego odznaczenia i korzyści z niem złączonych? Głosowanie trwało godzinę i wypadło na korzyść kobiet większością 143 głosów. Wszystkie dzienniki kobiece przemawiają przeciw w tym duchu, że kobieta Angielska nie pragnie współubięć się z mężczyzną, ale chce korzystać z zakładów naukowych swego kraju, aby potem pracować na podobnej, ale nie tejsamej drodze.

— Jedna z pań wysokiej arystokracji angielskiej, lady Siemens, przeznaczyła 500 franków nagrody pieniężnej lub złoty medal tejże wartości za najlepszy sposób zastosowania gazu do opalu i gotowania w małym pomieszkanku rodziny niezamożnej.

— W Paryżu zmarła w sędziwym wieku Anieła Arnaud, panna, zaszczycona godnością naukową: „officier d'Academie“. Zmarła, była kobietą uczoną; do końca życia zajmowała się studjami nad filozofią i sztuką, nawet nauki prawne objętnie jej nie były. Dzienniki francuzkie piszą, że obok samodzielnego umysłu, posiadała „wielki charakter“, przeżyła życie szlachetnie i była gorącą patriotką: sprawa publiczna przewyższała u niej zawsze względy i interessa osobiste. Z prac jej literackich zaznacza się monografia Franciszka del Sarte. Napisała też kilka powieści; ostatnia: „Les cruautés du sort“, ma wkrótce ukazać się w druku.

— Adela Benoit, młoda panna z miejscowości Fontenay w Wandei, otrzymała świeżo od uniwersytetu Paryzkiego stopień: „bachelière en lettres et sciences“; starsza jej siostra Gabryela, posiada już od lat kilku tensam stopień naukowy. Najstarsza siostra, Wiktorya, została w Sierpniu roku zeszłego „doctoresse en médecine“.

— Julia Favre, panna, zapisała Instytutowi Francuzkiemu 14,500 franków rocznego dochodu na utworzenie instytucji podobnej, jak powstała z legatu Montyon'a: corocznego nagradzania cnoty. Donatorka żąda utworzenia dwudziestu ośmiu nagród, po 500 franków każda, a pozostające 500 franków przeznacza na zakup złotych medali, mających się dołączać do każdej z nagród. Zapis ten, mimo bardzo wyraźnego i prawnie dobrego testamentu, wywołał spór pomiędzy Instytutem a jedną ze składających go akademii: Akademią Francuzką. Ponieważ ta ostatnia rozporządza rozdawnictwem nagród cnoty Montyon'a, uważała się za uprawnioną do objęcia również legatu Favre'a, aby jeden zachód, jedno staranie przy wyszukiwaniu cnoty służyło tu wspólnie i nie spotykało się z drugostronną w tym samym kierunku działalnością. Instytut przeciw zapro-

testował i na ogólnem zebraniu wszystkich pięciu akademii, składających go, sprawa się rozszalała. Było wiele głosów, aby Instytut działał sam przez delegatów ze wszystkich akademii i wtedy pojęcie cnoty przybrałoby to szersze znaczenie, które chciał jej dać Montesquieu, mówiąc o cnotie patriotycznej, którą nazwał „cnotą polityczną“, bo jest cnotą moralną w tem znaczeniu, że „kieruje się ku dobru moralnemu“. Niemniej dla względów wyżej przytoczonych Instytut rzekł się swego prawa na korzyść Akademii Francuzkiej.

— Do rzędu bardzo smutnych objawów społecznych we Francyi zaliczyć trzeba karę, którą ze względu na obrazę moralności publicznej sądy francuzkie wymierzyły na margrabinę Manoury d'Ectot; ta wydawczyni i redaktorka dziennika „Le Succès“, skazaną została na trzy miesiące więzienia i 1000 franków kary pieniężnej.

— Alicya Durand, pisząca pod pseudonimem Henrykowej Greville, a licząca się obecnie do rzędu pierwszych powieściopisarzy francuzkich, miała w Zürichu odczyt „O kobiecie w społeczeństwie tegoczesnem“. Zaczawszy rzecz historycznie i streszczając stanowisko kobiety w przeszłości, prelegentka wykazywała, że dziś społeczeństwo nie zamyka kobiecie drogi do żadnej pracy, żadnej nauki—że może ona pracować samodzielnie na różnych stanowiskach społecznych, z korzyścią dla siebie i narodu swego, jeżeli tylko nie chce przekraczać zakresu, w którym ją trzyma własna jej natura — jej kobiecość. Powstając przeciw wywalczeniu sobie przez kobietę praw politycznej działalności, oparła się prelegentka mniej więcej na tychsamych co Stuart Mill zasadach: że jako małżonka, matka i gospodyni, przez te trojaki obowiązki ma już kobieta dane sobie pole bardzo szerokie pracy społecznej, pod względem moralnym i ekonomicznym. Pozostaje zatem kobieta samotna — stara panna, ale prawo narodów nie może być pisanem dla wyjątków, bo tak wychowanie jak życia, układ cały wyjątków tych nie zna, nie może więc ich inaczej od ogółu kobiet do wywiązywania się z politycznych funkcji uzdalniać. Prelegentka prawa kobiety oparła na jej obowiązkach: natura kobiety dała jej wszystko, aby nie wychodząc poza zakres przeznaczenia swego, była na równi z mężczyzną użyteczną i szczęśliwą — uszczęśliwiającą. Dalej prelegentka mówiła obszernie o szczęściu i zaszczytności węzłów małżeńskich, rodzinnych, mówiła wiele i pięknie o poświęceniu, nieco o strojach, dalej o prawdziwym wdzięku i pogodzie umysłu kobiety — o jego wpływie na jej los i szczęście domowe, na przywiązanie męża do ogniska rodzinnego. Choć ten moralny traktacik był wymierzony przeciw emancypacji a wygłoszony w Zürichu, niemniej słuchała go publiczność bardzo liczna i odpowiedziała na słyszane wywody oklaskami.

— Ida Barber, Wiedenska otrzymała nagrodę konkursową, wyznaczoną przez redakcją tygodnika „Izraelita“ wychodzącego w Moguncyi, za powieść najlepszą z pomiędzy 52, jakie nadesłano.

— Cesarz Austryacki zakupił trzynaście obrazów na wystawie malarzy austryackich, między niemi jest dzieło kobiety panny Max-Ehrler. Obraz przedstawia parę orzących wołów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 7-my powieści pod tytułem: **Natchnienie i Miłość**.

TREŚĆ. Na miesiąc Maj, (poezya), przez Kr. — Pogawędka. — Jan z Czarnolasu, poezya, (dokończenie). — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryzkie. — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów. — Kolonie letnie dla dzieci ubogich, przez M. I. — *Kronika działalności kobiecej*.